

Stanisław Pigoń

Stefana Żeromskiego parerga i paralipomena

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 50/2, 601-650

1959

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

STANISŁAW PIGOŃ

STEFANA ŻEROMSKIEGO PARERGA I PARALIPOMENA

1. „Dramatu akt pierwszy“

Wydarzenie niemal jak by przy Norwidzie.

W pięćdziesiąt osiem lat po napisaniu, w trzydzieści trzy lata po zgonie autora wychodzi na jaw utwór literacki szeroko zakrojony, w znacznej mierze wykonany, którego nikt się nie spodziewał, o którym nikt nawet z daleka nie zasiłszył. W listopadzie 1958 na scenie warszawskiego Teatru Ludowego, pod zastępczym opisowym tytułem: *Dramatu akt pierwszy*, wystawiono niby jednoaktówkę fragment, ale fragment stanowiący w pewnym stopniu całość, przynoszący pełną, zamkniętą ekspozycję, początkowe ogniwo szerokiego, wyraziście zakrojonego dramatu. Utwór Żeromskiego był dla widzów absolutną nowością, a siłą wyrazu, śmiałością ujęcia problemu wywarł duże wrażenie.

Wypadek nie należy do zwyczajnych. Pisarz zajmuje czołową pozycję wśród twórców swej doby, spuścizna jego została przebadana, zarejestrowana bibliograficznie ze szczególną starannością, ujęta w edycję zbiorową jedną, drugą, trzecią. Jak była zatem możliwa taka niespodzianka?

Wypadek uzasadnia się wielorako. Najpierw usposobieniem autora. Żeromski jako twórca był swego rodzaju konspiratorem. Dziełami swymi lubił zaskakiwać, o aktualnych swych zamiarach pisarskich nie chciał mówić, nie wydawał się, nad czym współcześnie pracuje, chował to w sekrecie nawet przed najbliższym otoczeniem, cóż dopiero przed wydawcą, dziennikarzami czy współliteratami. Nie dziwi nas więc, że i o obchodzącym nas tu dramacie, ile że był dopiero zaczęty, nie znajdujemy nigdzie wzmianki, ani w korespondencji, ani we wspomnieniach przyjaciół.

Tym mniej zwłaszcza kwapił się autor do rozpowiadania, że chodziło o dramat. W tej bowiem dziedzinie Żeromski mógł się ponadto kierować dostatecznie uzasadnionym urazem. Od młodych lat czuł on, że do dramatu „ma prawo“, a co najmniej ma pasję. Ale pasję przez długi czas się nie wiodło. Pomiędzy te próby młodzieńcze, o których sam autor *Puszczy jodłowej* wspomina z żartobliwą pobłażliwością. Ale *Grzechu* przecież nie pominiemy. Tymczasem na konkursie Kuriera Warszawskiego 1897 r. nawet go nie wyróżniono, nawet nie wspomniano. Aczkolwiek dziś,

po sześćdziesięciu latach, słyszymy, jak mocno mówi on ze sceny. Niepowodzenie tedy owocne mogło się słusznie wydać autorowi niezasażone, krzywdzące. Z każdą następną próbą poczynił sobie nieufnie i ostrożnie.

Jeden jeszcze wzgląd wchodzi tu również w grę, najbardziej może decydujący. Czas powzięcia koncepcji dramatu i początek jego konstruowania przypadają — jak to da się osobno dowieść — na krótki okres między dwiema wichurami twórczymi: między świeżym ukończeniem *Ludzi bezdomnych* a przystąpieniem do pracy nad *Popiołami*. Ten zaś nowy rozpęd porwał niebawem i pochłonął Żeromskiego na czas dłuższy niemal całkowicie. Opanowanie olbrzymiej literatury źródłowej i trud nie miały pisanie zaabsorbowały autora wyłącznie. W tych okolicznościach nic dziwnego, że początek dramatu został odsunięty na bok, a potem poniechany i zapomniany. Nie wyszedł poza akt I, będący — prawda — mocną i porywającą, ale ekspozycją tylko. Żeromski do dzieła tak dobrze zaczętego nie wrócił.

Stało się to ze szkodą dużą. Nie tyle może nawet ze względu na rozwijający się kunszt dramatyczny autora. Pasja do dramatu tym razem w nim przycichła, ale nie ucichła nigdy. Owszem, po latach powróci w szczególnie natężeniu. Od *Sulkowskiego* poczynając, Żeromski z zawziętością raz po raz będzie się mocował z wymagalnikami sceny, aż je opanuje tryumfalnie. Jaki zeń dramaturg, to pokaże się niebawem dostatecznie jasno. Próba poniechana nie zaważyła tu wiele. Szkoda uzasadnia się więc inaczej. Odczuwamy ją dotkliwie w tym, co zostało nie powetowane.

Można by powiedzieć, że mamy tu sytuację analogiczną nieco jak przy zamyśle *Popiołów sprawy drugiej*. I tam wykończył Żeromski wspaniałą rozdział pierwszy, *Wszystko i nic*, a do dalszego ciągu już nie wrócił. Tylko że w wypadku z dramatem sprawa jest bardziej przykra. Przy *Wszystko i nic* żałujemy dzieła nie dokonanego. Natomiast problemu twórczego nie spodziewaliśmy się po nim nowego: wiemy już, jak powieściopisarz włada sztuką ożywiania przeszłości i do czego przy tym zmierza. Tymczasem przy dramacie autor nam takiej odpowiedzi poskąpił. Z fragmentu widzimy, że postawił sobie tam problem twórczy, którego ani przedtem, ani potem w osobnym ujęciu już nie opracował. Dlatego właśnie zarzucenie utworu wydaje się nam tak dotkliwe.

Żeromski jest dla nas przede wszystkim pisarzem miasta. Od problematyki wsi, o którą za młodu mimochodem zahaczał, odchodził z latami coraz bardziej. Problematykę mieszczańsko-robotniczą zaatakował był ostro w *Ludziach bezdomnych*. Tym samym judymowym impetem atakowały z kolei — jak się zdaje — wieś i stosunki rolne, wielkoobszarnicze. Konflikt dramatu zaś w tej właśnie sferze najwyraźniej miał być osadzony. Rdzeniem akcji byłaby bodajże sprawa nie indywidualna, ale społeczna; obok psychologicznego byłby autor zapewne pokazał doniosły proces ekonomiczny.

Czy z fragmentu można sobie wyrobić pojęcie o ogólnym charakterze powziętego węża dramatycznego? Z ekspozycji da się tu coś niecoś wynioskować, choć oczywiście na drodze domysłu jedynie i w pewnym tylko stopniu. Miłość Henryka Olszyńca i Ewy Goryckiej skończyła się katastrofą. Stało się tak nie ze względów personalnych. Młodzi kochali się,

a on był jednostką przez ukształcenie i charakter wysoko stojącą. Zaporą stanęła nierówność środowiska społecznego i majątku: Henryk to chudo-pacholek, Chrobrzyc-Gorycki to pan z panów. „Ród mój — powiada — spowinowacony jest ze znakomitymi nazwiskami w kraju. Córka moja może być żoną tylko równego jej człowieka“. Jeden jeszcze wypadek starych, bolesnych, tragicznych niekiedy zagrożeń stanowych.

Śmiercią Olszynca zamknął się jeden akt dramatu, wątek miłosny się przerwał. Nie po to oczywiście, żeby go autor miał w dalszym ciągu zaczynać na nowo w odmiennej tonacji. Co zatem miałyby wypełnić zamierzone dwa dalsze akty? Nikt nie ma wątpliwości, że ukazany konflikt jednostkowy między hołyszem a jaśnie panem stanowi tylko punkt wyjścia dla dramatu o wymiarach nie tylko jednostkowych, że więc odsiania dynamikę głębszego konfliktu społecznego, mającego się ujawnić w konkretnym zawężeniu. Ten byłby się dopiero potoczył jak lawina, przez tamtą gruadkę potrącona. Logika konstrukcji dramatycznej nie pozwala wątpić, że konflikt rzeczny dramatu, acz szerszy i głębszy od owego ekspozycyjnego, byłby jednakiej przecież z nim konsystencji, miałby charakter społeczno-ekonomiczny.

Niewiele by się zapewne zaryzykowało przyjmując, że sednem akcji w aktach następnych miały być wielkie przemiany układów gospodarczych, że dramat byłby po prostu obrazem dokonujących się ruin majątkowych. Zbyt jaskrawo wyszedł był w ekspozycji konflikt wynikający z nierówności społecznej, a zarazem zbyt wiele mówi się tam o sytuacjach i zagrażających kłopotach majątkowych obu partnerów ziemian: Goryckiego i Smugowskiego, żeby to miało być bez znaczenia. Wolno wnosić, że te to sprawy właśnie miały wejść w główny nurt akcji dramatycznej. Ruina fortun byłaby tam chyba wątkiem centralnym, uwarunkowana rozkładem wewnętrznym, dekadencją psychiczną ostatnich przedstawicieli stanu wielkopanckiego. Dramat ujawniłby procesy przetwarzania się porządku społecznego, obszarniczego.

Katastrofę idącą na klucz wikliński możemy sobie od biedy uprzytomnić. Gorycki to dziedzic na oko „postępcwy“. Przeprowadza irygacje, zaciąga sieci telefoniczne od folwarku do folwarku, stosuje superfosfaty. Można się wszelako obawiać, że to nie tyle dla zwiększenia intraty, ile raczej „dla nauczania naszych panów sąsiadów“. Dochody z folwarków nienadmiernie duże, ale na bażanciarnię się nie żaluje. Nachodzi czasem przelotne złośliwe podejrzenie: czy to aby wszystko nie idzie trybem po trosze pana Ambrożego Jeniakiewicza? Wiele zdaje się zapowiadać, że dziedzic Wiklin, złamany tragicznym wypadkiem, opuszczony przez córkę, otoczony ludźmi niechętnymi — popadnie w bankructwo, a jego obszar dworski rozkupią tacy jak Szymon obrotni spekulanci, chciwi na „percent“.

Bardziej skomplikowana wydaje się sprawa ze Smugowskim. To również duży pan: ziemianin i kapitalista; „parę folwarków, ma i kapitał swój w banku angielskim, ma dom we Lwowie“. Prawda. Ale zarazem to rozrzutnik, „pan-latawiec“, wojażer nienasycony; bywa w Paryżu, w Madrycie, w Lizbonie, kaprys przejściowy nęci go do Afryki, by zaplować na lwy. Nie wróży to dobrze owym kapitałom. Co gorsza, to czło-

wiek z pewnym porażeniem wewnętrznym. Junak i siłacz, ale zarazem — jak go poznajemy z opowiadania lokaja — chimeryk, schyłkowiec, w sobie rozdarty, dręczony przez czczość, przez pustkę istnienia, szarpiący się między napadami zuchwałego ryzykanctwa a prostracjami melancholii czy acedii. To nie zdobywca i nie zwycięzca. Miłość do Ewy — a tak czy owak byłaby to miłość nieszczęśliwa — stałaby się dlań tylko współczynnikiem zguby. Jeden i drugi więc „pan z panów“, ale w dramacie obaj naznaczeni stygmatem zatraty.

Że więc Żeromski porzucił dramat — wielka szkoda. Ale że zarazem odszedł od problemu — strata niepowetowana. Przy znanej jego sumienności autorskiej nie można wątpić, że byłby on przestudiował i przemyślał ów problem gruntownie, że by się starał ująć go w jego istocie a rozwiązać na wyżynach bezkompromisowej prawości, że — słowem — oświeciłby wyraziście wielką połąć życia narodowego z jego ogniskami zajątrzeń. Poniżanie tego problemu żywotnego zwięzło nam w konsekwencji rozpiętość zainteresowań twórczych pisarza. Tutaj szkoda jest największa.

Mniejsza zresztą o te wiotkie domysły rekonstrukcyjne. Tak czy inaczej widzimy, że utworzony akt I jest przedścionkiem mającym wieść do głęboko i silnie założonej tragedii społecznej, związanej z przetwarzaniem się porządku gospodarczego i obyczajowego określonej doby. Sam w sobie zaś ten akt ekspozycyjny zbudowany jest pewną ręką: dobrze dobrane charaktery, ostry zarys konfliktu zapowiadający szerokie horyzonty problemu naczelnego — wszystkie te walory nadają odszukanemu torsowi dramatycznemu wyraz artystyczny dojrzały i urzekający.

W dorobku twórczym Żeromskiego uzyskujemy pozycję znaczną.

[DRAMATU AKT PIERWSZY]

Osoby:

Chrobrzyc-Gorycki	
Ewa — jego córka	
Henryk Olszyniec	
Paweł Smugowski	
[Józef]	} [lokaje]
[Szymon]	
[Hipolit]	

[Rzecz dzieje się w Wiklinach, we dworze]

(Gabinet pałacu na wsi. W głębi, z prawej i lewej strony, drzwi z portierami. Z lewej strony biurko zarzucone papierami, przed nim fotel. Na środku stół okryty ciemną, ciężką serwetą. Z pra-

wej strony duży szezlong obity skórą. Obok stołu kilka foteli skórą obitych. W głębi dwie szafy z książkami. Na szafach biusty. Na ścianach portrety)

[Scena pierwsza]

Gorycki

(Lat około pięćdziesięciu, tysawy. Siedzi przy biurku i zagłębiony w papierach głośno rachuje)

Siedemdziesiąt trzy a osiem — osiemdziesiąt jeden, osiemdziesiąt jeden a dziewięć — dziewięćdziesiąt, a sześć — dziewięćdziesiąt sześć... Dziewięćdziesiąt sześć a osiem — sto cztery...

(wchodzi na palcach drzwiami w głębi Smugowski, zatrzymuje się, robi ruch, jak by się chciał wycofać, później czeka)
(Gorycki daje mu znak ręką nie odrywając się od roboty)

Dzień dobry... Natychmiast kończę... *(rachuje prędeż)* Sto cztery a osiem — sto dwanaście, a sześć — sto osiemnaście *(pisze i mówi)* sto osiemnaście. Otóż i wszystko.

(wstaje, wyciąga obiedwie ręce do Smugowskiego i całuje go w usta na powietrzu)

No, i jakże ta nasza jama? Po waszej Galicji, po waszej kulturze. Co?

Smugowski

Daj, Boże, takich jam więcej. Ależ to Europa! Niemieckie nowinki, dziwy, kuzynie...

Gorycki

Żartuj zdrów, panie Pawle. Żartuj zdrów. *(zacierając rękę)* Irygacje widziałeś, co? Coś niecoś na tym polu zrobiło się dla nauczenia naszych panów sąsiadów, co to znaczy łąka i rzeka w kupie, ale poza tym — barbaria, dzika pustynia.

Smugowski

Pustynia, po której przebiegają bażanty, gdzie od folwarku do folwarku idzie telefon, gdzie...

G o r y c k i
(zacier a ręce)

No, telefon, wielka historia. Dziś każdy geszefciarz rozmawia przez telefon, więc i my, i my. Ale, panie Pawełku dobrodzieju, pokażę ci po śniadaniu nasze superfosfaty; daruj, ale pokażę.

S m u g o w s k i

Kuzynie, już je widziałem.

G o r y c k i

Co? Żartujesz!

S m u g o w s k i

Widziałem na własne oczy! Wstałem rano i, korzystając z wczorajszego pozwolenia, kazałem okulbaczyć sobie tego ślicznego Szeryfa, którego wczoraj napatrzeć się nie mogłem. Wyjechałem za park. Był prześliczny poranek, puściłem szkapę...

G o r y c k i

Co? Daliż ci przynajmniej munsztuk? Ten łajdak Szeryf ponosi? Co?

S m u g o w s k i

Tak, poniósł mię trochę, nawet nieźle, ale ja to lubię, bardzo lubię. Jestem silny w rękach. (z *uśmiechem*) Dałem mu radę. Wyniósł mnie na piaski w stronę jakiegoś miasteczka. Leciałem jak wiatr. Pędząc dostrzegłem, że ktoś sadi ku mnie na koniu ukośnie do mego kierunku i usiłuje przeciąć mi drogę. Był to pan... jakże?... Olszyniec, praktykant tutejszy...

G o r y c k i

Aha, Olszyniec, tak, praktykant.

S m u g o w s k i

Nie chciałem dopuścić, aby mi zabiegał drogę i ratował mię od konia, który mię ponosi, więc wziąłem Szeryfa na całą siłę rąk i wstrzymałem.

Gorycki
(z uśmiechem)

Winszuję ci, kuzynku. Znaczy to, żeś istotnie silny w rękach. Ja, wyznaję, choć mię to żenuje do głębi, nie siadam na Szeryfa. Nie siadam.

Smugowski

Koń istotnie ma dziką siłę. Koń z pustyni, to nie ma co. Ale ja to lubię. Owóż, po osadzeniu Szeryfa, zetknąłem się z panem Olszyńcem i zaznajomiłem się. Wracaliśmy razem. Stanąwszy z powrotem na miejscu zwiedziłem właśnie w towarzystwie tego pana gorzelnię. To miły chłopiec.

Gorycki

Tak, miły, miły...

Smugowski

Co mię uderzyło, to to, że posiada dużo wiedzy, dużo nauki. Zadałem mu w rozmowie nieznacznie trochę pytań i przekonałem się, że to zupełnie wykwalifikowany agronom. Z przyjemnością odświeżyłem sobie swoją chemię. Bo, *nota bene*, my z tym panem jesteśmy poniekąd koledzy.

Gorycki

A to jak?

Smugowski

On kończył swe studia agronomiczne w Halli i ja również, tylko, jak się okazało, ja o cztery lata wcześniej.

Gorycki

A... Tak...

Smugowski

Tego rodzaju ludzie są nam potrzebni. My dźwigamy rolnictwo, a tacy są wykonawcami naszych myśli. Dość już owego typu osła z zaścianka, pana rządcy, który ledwie umie podpisać kulfonami

na papierze swe nazwisko, a wprawniej niż piórem włada batogiem.. Winszuję kuzynowi tego młodego człowieka.

G o r y c k i

Tak... A przecież ja nie jestem nim zachwycony, z tego właśnie względu, że to taki znawca... z Halli. U mnie, panie Pawle, jak w zegarku. Ja rozkazuję, ja mówię pierwsze i ostatnie słowo, jedyne. Żadnych ale... Tymczasem, gdybym rządy oddał takiemu Olszyńcowi, musiałbym słuchać wzmianek o jego chemii. A nadto... taki pan ma „przekonania“. Ja tego nie lubię. U mnie jak w zegarku.

S m u g o w s k i

A, jeśli kuzyn tego nie znosi, to inna rzecz. Co do mnie, to mam satysfakcję w przebijaniu owych przekonań żądłem logiki.

[Scena druga]

(Wchodzi Ewa, zbliża się szybko do Goryckiego, całuje go w rękę, później podaje rękę Smugowskiemu)

E w a

Dzień dobry.

S m u g o w s k i

Czy kuzynka codziennie wstaje tak wcześnie?

E w a

O, tak... Widziałam cię, kuzynie, przez okno, kiedy zsiadałeś z Szeryfa.

G o r y c k i

Zazwyczaj uprawialiśmy o tej porze angielszczyznę w ciągu godziny, czytywaliśmy Tennysona, Ruskina. Teraz, kuzynku, panna ma swe książki, rzadko kiedy przychodzi na lekcję konwersacji angielskiej.

E w a
(z zakłopotaniem)

Tak, teraz czytuję sama. Prawdę powiedziawszy, Tennyson mię troszkę znudził. Ale papa się nie gniewa o Tennysona?

G o r y c k i
(zimno)

Nie, nie gniewam się o... Tennysona.

E w a

Przyszłam z zamiarem proszenia panów na śniadanie, ale wzmianka o poezji angielskiej...

G o r y c k i

Przepraszam was, że ja na chwileczkę jeszcze zajrzę do pape-rasów. Natychmiast, natychmiast.

(Siada przy biurku, przegląda papiery i od czasu do czasu pisze)

E w a
(do Smugowskiego)

Podziwiałam, kuzynie, twoją odwagę. U nas na Szeryfa wsiada tylko pan Olszyniec. Nikt inny nie może sobie z tym koniem dać rady.

S m u g o w s k i

A ty, kuzynko, czy jeździsz często?

E w a

Bardzo, ale na koniach łagodniejszych. I to nie są bronowłoki, na przykład Hatfa. Szeryf jest naprawdę straszny. A oto przykład. Przed kilkoma miesiącami bawił u nas przez czas pewien Miecio Peszyn [?]. Jego marzeniem, a później pasją było ujarzmienie Szeryfa. Wszyscy odwodziliśmy go od myśli dosiadanania tego konia. Ale z nim nie było rady. Był tak dotknięty w swej ambicji, że chciał wyjechać od nas przed czasem. Nie można było inaczej, więc papo się zgodził...

G o r y c k i

Ale gdzie ja się tam godziłem...

E w a

Tak, tak, i papo zawinił... Otóż... Ale czy słuchasz uważnie, kuzynku?

S m u g o w s k i

Mogę powtórzyć każde twoje słowo, kuzynko Ewelino.

E w a

A więc. Miecio dosiadł Szeryfa. Był to poranek. Pan Olszyniec, który znał narowy araba, miał przygotowanego drugiego wierzchowca, anglika, gniadego Balfoura, i skoro tylko Miecio wyjechał na gościniec — wskoczył na siodło i znikł nam z oczu. Nie wiem, czy zauważyłeś, kuzynie, drogę idącą nad stawami.

S m u g o w s k i

O tak, droga prowadząca w stronę Czernicy.

E w a

(*coraz żywiej*)

Łączy się ona z szerokim gościńcem, który prowadzi do nas od strony przeciwnej. Pan Olszyniec rzucił się na tę drogę. Nie rozumieliśmy, w jakim celu. A on tymczasem miał wyborną myśl. Bo oto Szeryf, który, jak Miecio później opowiedział, szedł z początku w przepysznych skokach i lekkich larsadach, już na drugiej czy trzeciej wiorście, rozgrzewając się, zaczął ponosić, ponosić coraz bardziej, a wreszcie rzucił [się] w skok dziki, jastrzębi, jak mówi papa. W miejscu, gdzie się drogi łączą, nagle dał susa w lewo i wysadził Miecicia z siodła. Niestety chciało, że noga została w strzemieniu.

S m u g o w s k i

(*marszcząc się*)

O — o...

E w a
(z zapalem)

Jest tam na drodze głęboki piasek. Bóg strzegł... Pan Olszyniec. (z powstrzymanym uniesieniem) Pan Olszyniec ujrzał to z daleka... Jak ptak doleciał. Dopędził... Szeryfa... Leciał z nim równolegle dopóty, aż go dosięgnął i wtedy... stanął w strzemionach, pięścią uderzył go między uszy (*robi gest*). Mógł zabić konia, ale wtedy Szeryf... stanął na miejscu... Miecio był ocalony. Strasznie pokaleczył sobie twarz, ręce, poranił głowę, nawet oko było w niebezpieczeństwie. Leżał tu dwa miesiące, wreszcie przyszedł do siebie. Ale o tym zachowasz, kuzynku, najgłębsze milczenie. To sekret.

G o r y c k i
(naśladując głos córki)

O tak, to sekret. Bierz, panie Pawle, przykład z mej córki i zachowaj ten sekret w najgłębszej tajemnicy.

S m u g o w s k i
(z uśmiechem)

A inne sporty twoje, kuzynko. Wiosłowanie? Czy pamiętasz, kuzynko Ewelino, spotkanie się naszych łodzi we mgle?

E w a

Czy pamiętam! Ależ doskonale — i do tej chwili podejrzewam cię, kuzynie, że był to podstęp z twej strony.

S m u g o w s k i

Nie, bynajmniej. Ujrzałem twoją łódź dopiero wówczas, gdy jej prawie dotykałem wiosłami. Dziwny wypadek, nic więcej. Dziwny wypadek... (*po chwili*) Jedenaście miesięcy upłynęło od tego czasu.

E w a

Czy tak? Jak to czas prędko, prędko leci. Zdaje mi się, że to było bardzo niedawno, bardzo... jak by przed tygodniem.

S m u g o w s k i

A nasza wycieczka na Monte... A ekskursje do Mediolanu.

G o r y c k i
(odwracając się na chwilę)

Pamiętacie tego Gondolfa? (*rachuje dalej*)

S m u g o w s k i

Ależ... Nieraz, gdy sam siedzę, staje mi w pamięci ta niezapomniana fizjognomia, te wąsy, te oczy z błyskawicami.

E w a

Czy zimę kuzyn spędził we Lwowie?

S m u g o w s k i

Tak jest, we Lwowie.

E w a

Wesoło?

S m u g o w s k i

Czy wesoło? Zapewne, że tak. Jeżeli kuzynka będzie ciekawa szczegółów karnawałowych, mam ich dużo, niby duże tekturowe pudło, pełne ślicznych wstążek. Jest to wesoły widok i miły szelst. Ale ja znam cię, kuzynko, i wiem, że nie masz pasji do tych barw.

E w a

(z uśmiechem)

Ja? Owszem, ja lubię wesołe barwy życia. My, co żyjemy w dostatku, w szczęściu, tylko te znamy. Jeżeli się trafią kiedy żałobne, to na krótko i dla podniesienia barw świetnych na mocy kontrastu.

S m u g o w s k i

Tak. Wymówiłaś, kuzynko, z takim spokojem wyrazi: żyjemy w szczęściu... W szczęściu? Doprawdy? To tylko zapewne twoja dusza, kuzynko...

E w a

Nie tylko...

S m u g o w s k i
(nieśmiało)

Å propos: tyle razy wymawiam przy twym imieniu wyraz: kuzynko, że pragnąłbym postąpić z nim w taki sposób: umieścić ten wyraz za ogromnie, ogromnie długim nawiasem, w postaci wąsów. Wyraz ten będzie się stosował do twego imienia wymówionego za każdym razem, ale ja go będę wymawiał bardzo rzadko. Będę mówił — Ewelino... Ewuniu...

E w a

O tak, proszę cię o to bardzo. Sprawisz mi szczerą przyjemność, jeżeli będziesz do mnie przemawiał jak do... siostry.
(*Gorycki nie odwracając głowy słucha uważnie ostatnich wyrazów*)

S m u g o w s k i
(po chwili milczenia)

A jakże, kuzynko — ten wyraz stoi poza nawiasem — jakże twój projekt przyjazdu do naszego Lwowa?

E w a

Spelźł na niczym. Papa nie mógł w tym roku wyjechać na dłużej, a mnie samej nie byłoby dobrze nawet u Lolly. Byliśmy w Warszawie, ale niedługo. Nie lubię... Ja jestem jak wierzba, bez wsi, bez swej wody — usycham.

S m u g o w s k i

A we Włoszech?

E w a
(pomieszana)

We Włoszech... (*cicho*) To co innego.

(*Gorycki dzwoni. Wchodzi lokaj w czarnym surducie*)

G o r y c k i

Czy pan Majewski jest na folwarku?

L o k a j

Widziałem, jasnie panie, że przejeżdżał niedawno, ale czy teraz...

G o r y c k i

A pan Olszyniec?

L o k a j

Dopiero co zsiadł z konia.

G o r y c k i

Poszedł do siebie?

L o k a j

Tak jest, poszedł do siebie.

E w a

We Włoszech byłam jak we śnie. Cały ten kraj jest doprawdy jak piękny, fantastyczny sen.

S m u g o w s k i

I ja go wspominam jak piękny, fantastyczny sen.

E w a

Dla ciebie nie był nowością, tak dobrze znasz Włochy, ale ja, tutejsza córka dziedzicowa, z Wiklin...

G o r y c k i

(do lokaja)

Idź no, uważasz, prędko i poproś do mnie pana Olszyńca. Choćby mię nie było chwilkę, to niech pan Olszyniec zechce tutaj poczekać na mnie. (*lokaj wychodzi*)

S m u g o w s k i

Wikliny jest to miejscowość tak piękna, że nie przybyłaś do Włoch z brzydkiego kraju. Może Włoch byłyby nimi tak zachwycony, jak my jego jeziorami. Na mnie wywarły dziwny urok. Te stawy szerokie, a nad nimi czarny, głuchy las olszowy. Jest w tym miejscu jakieś zakłęte na wieki milczenie...

E w a

Nieprawdaż? Ach, jak to dobrze, że podobały ci się nasze pustki! Dołożę wszelkich usiłowań, kuzynku... przepraszam... dołożę wszelkich usiłowań, żebyś je polubił całym sercem. Będę dla ciebie przewodnikiem, jak ty nim byłeś dla mnie we Włoszech. Tyle ci winnam wskazówek, wyjaśnień! Gdyby nie ty, doprawdy nie spostrzegłabym wszystkich szczegółów piękna...

G o r y c k i

Skończone! Idziemy na śniadanie. Przepraszam was stokrotnie. Na starość człowiek staje się pedantem zajadłym i... aż grzeszy pedanterią. Ja to wiem, ale co począć. Weszło w nałóg i cała rzecz. Proszę cię, kuzynie Pawle, proszę cię... (*Wychodzą drzwiami na lewo*)

[Scena trzecia]

(*Wchodzą lokaje: Józef, Szymon i lokaj Smugowskiego: Hipolit*)

J ó z e f

(*rozgląda się i nasłuchuje*)

Poszli... mówię. Chodźcie, panowie. (*do Hipolita*) Tu jest gabinet naszego starego. Jakże się koledze wydaje?

H i p o l i t

(*rzuciwszy niedbale okiem*)

Tak... Gabinet szlagona zakopanego na głębokim partykularzu.

S z y m o n

Na czym?

H i p o l i t

Na partykularzu. Gabinet... Trza zobaczyć, proszę kolegi, gabinet u takiego hrabiego Leona...

J ó z e f

To jest... na wsi niby...

Hipolit

Na wsi. A myślisz kolego, że mój na przykład toby wysiedział w takim pokoiczynie i nazywałby toto gabinetem?

Józef

E... bo znowu gadanie...

Hipolit

Jak to... gadanie?... Ja koledze mówię echt prawdę! Taki pan z panów, jak mój, taki znawca przecie panu podobnej czarnej płachty na stole w gabinecie nie położy. U niego stoi mebel w gabinecie — to antyk...

Szymon

Jak to niby antyk?

Hipolit

No!

Józef

I u nas salon, proszę kolegi, jak się patrzy. Widział przecie człowiek tosamo różne hrabstwa w Warszawie.

Hipolit

W Warszawie! Ja w Paryżu byłem z moim, w Madrycie, w Lizbonie, i nie chwale się. Wiesz kolega na przykład: walki byków... Ale co tu gadać.

Szymon

Byków?

Hipolit

Przecie. Tam dopiero można się napatrzeć różnego narodu. Murzyny nie Murzyny, żółte, czerwone narody...

Szymon

Widzieliście, ludzie kochające...

Hipolit
(siadając na fotelu)

Na morzu kolega bywał?

Józef

Ale skąd?!...

Szymon

Na morzu!

Hipolit

To dopiero frajda, jak cię weźnie statek ciskać na prawo, na lewo...

Józef

Takie to drogi ten wasz odbywał?

Hipolit

Phi — gdzie ten nie był? Kroku brakowało, żebyśmy byli skoczyli do Afryki (z *udaną niedbałością*) polować na lwy.

Szymon

A dobra duże ma?

Hipolit

Dobra ma niczego, parę folwarków, ma i kapitał swój w banku angielskim, ma dom we Lwowie. Jakby chciał, toby dziś posłem został.

Szymon

Posłem?

Hipolit

Posłem — czy to do Lwowa, czy do Widnia. Po niemiecku gada ekspedite.

Szymon

Nigdy ja nie był w tych waszych krajach i wydziwić się nie mogę. No, a do tego Lwowa często jeżdżacie?

Hipolit

Do Lwowa? Jak się zdarzy. Jest w mieście co ciekawego — rżniemy do miasta; jest sesja we Widniu — rżniemy do Widnia.

Józef

A pan z niego dobry?

Hipolit

Niczego sobie. Trza się tylko znać na nim, jak na narownym koniu. Ja to dość okiem rzucę — i wiem, co trza robić. Ma takie swoje czasy, że będzie siedział w domu, chodził z kąta w kąt gabinetu abo stanie i będzie patrzył w okno... Wtedy koło niego na palcach i zachowaj ta, Boże, sprzeciwić się, bo porwie, co pod ręką, i puści w łeb. A kiedy indziej — będzie z tobą za pan brat rozmawiał tam o polityce, o tym, o owym...

Szymon

(do Józefa z niepokojem)

Te... Antoni tam posługuje przy śniadaniu?

Józef

Ma się wiedzieć. Niechże też i on trochę poharuje, cóż ja będę dzień dnia. (do Hipolita) Niech też kolega jeszcze coniebaźdź rozpowie.

Hipolit

(pobłażliwie)

He — he... Cóż ja mogę tak na razie. Coś chyba z podróży... co?

Scena czwarta

(Olszyniec stuka we drzwi w głębi. Wszyscy trzech lokaje na palcach wymykają się drzwiami na lewo. Po chwili Szymon wraca i otwiera drzwi przed Olszyńcem)

Szymon

(do Olszyńca)

Jaśnie pan przy śniadaniu. Prosił jaśnie pan, żeby wielmożny pan chwilę poczekał.

Olszyniec

Dobrze, Szymonie.

(Szymon wychodzi drzwiami na lewo. Olszyniec chodzi po gabinecie tam i na powrót, później siada w fotelu przy stole i podciera w zamyśleniu głowę na rękę)

Scena piąta

(We drzwiach bocznych z prawej strony ukazuje się Ewa. Przez pewną chwilę Olszyniec jej nie widzi. Ona postępuje dwa kroki naprzód)

E w a

Dzień dobry...

(Olszyniec zrywa się i oddaje jej ukłon)

Przyszłam na chwilę pod pozorem, że idę do kredensu.

Olszyniec

(chce zbliżyć się do niej, ale ona powstrzymuje go ruchem ręki)

Dziękuję.

E w a

Muszę natychmiast wracać do jadalni.

Olszyniec

Tylko jedno słowo. Kto to jest pan Smugowski?

E w a

(z uśmiechem figlarnym)

Pan Smugowski? Jest to nasz daleki kuzyn. Przyjechał nas odwiedzić.

Olszyniec

O, niech mi pani powie!

E w a

Już serce pełne zazdrości. Czy to ładnie?.

Olszyniec

Pełne takiej rozpaczy! Panno Ewo... czy to?...

Ewa

(cicho, po chwili milczenia)

A jeżeli... nie?

Olszyniec

(mówi prędko, prawie szeptem)

Niech pani ma litość nade mną... Teraz już, gdy ten pan tu jest, nie będę mógł zamienić z panią jednego wyrazu. To taka straszna rzecz myśleć, że może panią w tej chwili tracę... Panno Ewo... pani będzie miała tyle litości nade mną, że gdyby ten pan miał zostać narzeczonym... pani mi powie, pani mi to da znać w jakikolwiek sposób...

Ewa

Nie, nie dam.

Olszyniec

Moja najdroższa, moja ukochana, moja cudowna.

Ewa

Ten pan nie będzie moim narzeczonym!

Olszyniec

(w uniesieniu radości)

Nie będzie?... Nie będzie?...

(zbliża się ku niej, ona go znowu powstrzymuje gestem)

Niech mi pani da na to swe słowo, że nie będzie!

Ewa

To, co mówię, to jest właśnie moje słowo. *Adieu.*

Olszyniec

Jeszcze jedną sekundę.

(Ogląda się na wszystkie strony. Ona także)

Jestem dziś tak szczęśliwy, tak bezgranicznie... Panno Ewo, Ewo... w tym dniu szczęśliwym... raz w życiu... *(szeptem, zbliża-*

jąc się ku niej) Niech mi wolno będzie dotknąć ustami tego świętego słowa na twoich... To będzie tylko przysięga, że cię będę kochał do śmierci, do ostatniego tchnienia. To będzie tylko przysięga.

(ona patrzy na niego przez chwilę z miłością i waha się, później daje mu ręką znak ostrożności i wychodzi)

Scena szósta

(Olszyniec sam, chwilę nieruchomo patrzy we drzwi, gdzie znikła Ewa, później stoi w zamyśleniu oparty rękoma o stół, wreszcie siada w fotelu przy stole. Po chwili wsuwa się do pokoju lokaj Szymon i zaczyna ścierać kurze na biurku Goryckiego, wyciera nogi stołków, podejmuje coś z posadzki, przechodzi na drugą stronę sceny i wyciera skórzaną sofę, wreszcie zbliża się do stołu, przy którym siedzi Olszyniec, i coś poprawia. Wzdycha)

Olszyniec

(spojrzał na niego kilka razy i znowu pogrążył się w myślach)

Szymon chce mi coś powiedzieć?

Szymon

Ij... ja tak... sprzątam...

Olszyniec

No dobrze, dobrze — o cóż idzie? Czy może znowu o Gajkosia?

Szymon

A bo mię to mało zdrowia kosztuje ten człowiek?

Olszyniec

(z uśmiechem)

Gajkoś?

Szymon

A no i nie, proszę łaski pana?

Olszyniec

Prędzej to chyba wy, Szymonie, psujecie mu zdrowie niż on wam.

Szymon

Ja jemu psuję zdrowie? Szedłem do niego, prosiłem, żeby ode mnie brał pieniądze?

Olszyniec

To prawda, że nie szliście do niego. Bieda go do was przygnała. Skoro kupił te parę mórg gruntu, trza się było zagospodarować. Nie miał ani czym zorać calizny, ani z czego zasiać. Słyszał, że macie pieniądze, żeście uskładali — więc przyszedł do was. Myślał, że idzie do brata, do chrześcijanina, do katolika, że go ten brat nie będzie darł w jego nędzy. A wy co? Kazaliście mu od stu rubli co roku płacić blisko trzydzieści. To się nazywa trzydzieści procent. Któż tu ma z tego chorować?

Szymon

To niech odda moje pieniądze. Po co się zgadzał? Ja mu nie kazał. Oto wczoraj był u mnie ogrodnik z Wojciechowa. Mówi — słyszałem, Szymonie, że macie trochę grosiwa, wystawię wam kwit i będę dawał present tak samo jak każdy inny. Sprawiedliwie mówię.

Olszyniec

Ja wierzę. Jak komu potrzeba, to pożyczą gdzie się da — u Żyda czy nie u Żyda... nawet na bardzo wysoki procent.

Szymon

O, la Boga świętego! Cóż ja też mam za to kary, zem temu psu wygodził. Słyszane rzeczy!

Olszyniec

Cóżeście mi chcieli powiedzieć?

Szymon

(całuje go w rękę, Olszyniec ją cofa)

No, ja chciałem łaski pana prosić, żeby skoro już ma być ten sąd nad nami, żeby choć już z połowę, z piętnaście rubli od sta za rok. Przecie jaśnie panienka powiedziała mi już, że pan chce zasądzić na moją krzywdę. Nawet mi się wierzyć nie chce... Pięć rubli od sta na rok... Przecie ten z Wojciechowa ogrodnik...

Olszyniec

Ani grosza nad pięć rubli. To darmo. Gajkoś jest chłop biedny, ledwie chałupę wystawił, stodoliny nawet nie ma. Zobaczymy, jak mu się w tym roku urodzi.

Szymon

(znowu chce go całować w rękę)

Proszę pana.

Olszyniec

Dajcież pokój, Szymonie. Przecież to nie zależy ode mnie. Ja nie mogę dopuścić, żebyście obdzierali biednego chłopowinę. Przyszedł do mnie prosić, żebym rozstrzygał między wami — więc ja mówię, jak mi każe sumienie. Sami powiedzcie...

Szymon

Ale przecie obiecał, przysięgał na czym świat stoi, jak brał pieniądze, że będzie płacił tyle, com powiedział...

Olszyniec

(z uśmiechem)

A co? Nawet się wstydzicie wymówić, ile...

(słuchać za sceną kroki)

Szymon

(nasłuchując)

Jaśnie pan idzie.

(wychodzi szybko na palcach, bocznymi drzwiami)

[Scena siódma]

Gorycki
(wchodząc, do Olszyńca)

Dzień dobry panu.

(podaje rękę i siada przy swym biurku)

Był pan na Czernicy?

Olszyniec

Byłem dziś rano.

Gorycki

Czy Pęczalski zaczął kosić?

Olszyniec

Zaczął na smugu, ale jest tam zaledwie trzydziestu chłopów z kosami.

Gorycki

Ten osioł zawsze mi robi w ten sposób. Prosiłem, jak tu był... Trzeba wysłać polecenie, żeby mi jutro obeśłać po wsiach, ile jest chłopów. Bezwarunkowo niech mi obeśle!

Olszyniec

To może bym ja zaraz pojechał?

Gorycki

A nie, dziękuję panu, panie Henryku. Ja... (namyśla się przez chwilę) Czy był pan i w Mlecznej może?

Olszyniec

Wybierałem się właśnie, gdy przyszedł po mnie służący.

Gorycki

Aha, tak... Proszę pana, panie Henryku, ja chciałem z panem pomówić...

Olszyniec

(*pomieszany*)

Służę panu!

Gorycki

Proszę, niechże pan siada.

(*Olszyniec siada przy stole*)

Czy pan nie zauważył, że na folwarkach źle wszystko idzie?

Olszyniec

Jak to, proszę pana?

Gorycki

Wszystko źle idzie. Kiedy się usiądzie z ołówkiem w ręce nad arkuszem papieru i kiedy się zacznie liczyć skrupulatnie zyski i straty — to się widzi dopiero całą groźbę położenia. Na pozór wydaje się, że idziemy naprzód, a w gruncie rzeczy...

Olszyniec

Jak to, więc pan przypuszcza, że majątek pański na zły jest drodze?

Gorycki

Prawie, prawie... To jest — nie mówię, żebym stał na progu ruiny, nie śmiałybym tego powiedzieć, bobym bluźnił, ale nie idę po tej drodze, którą bym chciał iść, którą powinien bym iść.

Olszyniec

(*z uśmiechem*)

Mnie się wydaje, proszę pana, że to są tylko rozczarowania człowieka dążącego do ideału. Naturalnie, że rzeczywistość takich ludzi nie zadawalnia. Gdzież tu może być mowa o... złej drodze. W zeszłym roku urodzaj był wcale niezły. Nie można powiedzieć, żeby jakiś niezwykły, ale przeciętny. W tym roku wszystko zapowiada się...

Gorycki

Co się tam zapowiada!...

Olszyniec

Na przykład łąki. Cóż za trawy! Dziś byłem...

Gorycki

No, właśnie mówię: na pozór wszystko wygląda jak idylla. Zdawałoby się, że to jedno z najlepszych w prowincji całej gospodarstw. O, dziś pan Stogowski, kuzyn mój z Galicji, mówił mi komplementa... A ja właśnie w owej chwili, gdy on to mówił, skończyłem rachurek folwarku Wałek i byłem pod wrażeniem... deficytu.

Olszyniec

Pod wrażeniem deficytu na Wałku?

Gorycki

No tak, panie kochany, tak.

Olszyniec

A cóż mówią rachunki o innych folwarkach, bo to przecie byłoby ciekawe. Czy także?

Gorycki

A ładna pociecha! Chciałbyś pan jeszcze, żeby i inne folwarki?

Olszyniec

Proszę pana... Wałek nigdy jeszcze nikomu nie dał minimalnego dochodu od stworzenia świata, więc cóż dziwnego. Folwark gałgan, na górze w kamieniu. Wszelką uprawę gleby wody jesienne spłukają. Ale gdyby tak porównać obecny stan tego folwarku z poprzednimi laty. Same trawy pastewne...

Gorycki

To byłoby tylko usypianie się, to byłyby tylko pociechy kwietyzmu. Ziemia powinna dawać dochód. Gdzie człowiek na niej krok stawia, tam leży rubel. Jeżeli go się z ziemi nie podnosi, to znaczy, że się jest niedołągą i bankrutem.

Olszyniec

Możemy wyteńczyć w tym kierunku wszystkie siły, chociaż nie mogę powiedzieć, żeby rządcy i ekonomowie pracowali źle albo niedbale. Owszem, zarówno Majewski...

Gorycki

Tak, tak... Chociaż dałoby się o tym niejedno powiedzieć. Proszę pana, ja zresztą chciałem pomówić nie tyle o stanie moich interesów, ile o panu. To, co mówiłem poprzednio, naprowadziło mię tylko na myśl, którą panu chciałbym do rozważenia przedstawić.

Olszyniec

Słucham pana z całą uwagą.

Gorycki

Kiedy pan po skończeniu swych studiów zgłosił się do mnie z propozycją praktykowania u mnie przez jakie dwa lata — przystałem z całą gotowością. Było to dla mnie wielką, istotną przyjemnością. Tyle o panu słyszałem dobrego od moich kuzynów Halickich, a pańskich kolegów z Halli. Gdy pan u nas zamieszkał, gdy poznaliśmy pański dzielny charakter, siłę woli, rozum i wykształcenie...

Olszyniec
(pomieszany)

Proszę, proszę pana...

Gorycki

byliśmy i jesteśmy wszyscy zniewoleni tak dalece, że literalnie człowieka tu nie ma jednego, który by nie był pańskim przyjacielem. Niech mi pan wierzy, że nikt bardziej ode mnie...

Olszyniec

Ale o cóż chodzi, proszę pana?...

Gorycki

Chodzi mi... o pana.

Olszyniec
(prawie z przestraczem)

O mnie?

Gorycki

Panie Henryku! Czego pan tu u mnie może się nauczyć? Taki człowiek jak pan, z fachowym, wyższym ukształceniem, potrzebuje poznać metodę gospodarowania praktycznego — to pewna, ale tam, gdzie gospodarstwo idzie drogą wzorową. A u mnie co? (chwytając arkusz papieru z biurka) Oto niech pan rzuci okiem. Tu świadectwo niedołęstwa, tu głupoty, tu niedozoru. To nie tylko nie jest gospodarstwo wzorowe, ale mniej niż zwyczajne partactwo. Niech mi pan wierzy, że się po prostu wstydzę. U nas tak zawsze! Jeżeli agronom teoretyk potrzebuje zobaczyć, jak należy gospodarować praktycznie, to mu pokazujemy folwark Wałek: zobacz, bracie, jak się produkuje... deficyt.

Olszyniec
(wstając)

Skoro pan znajduje, że moja obecność w Wiklinach...

Gorycki
(chwytając go za obie ręce)

Panie Henryku! Wierz mi pan, że mam dla ciebie uczucia ojca. Jeżeli masz ludzi życzliwych na świecie, ludzi, którzy cię... kochają, to ja nie jestem ostatnim z ich liczby... Wierz mi... Kogóż mógłbym pragnąć bardziej mieć przy sobie w moim domu niż ciebie... Ale musimy przecież nauczyć się... patrzeć szerzej. Kto ma się czegoś nauczyć, to niechże się uczy tam, gdzie jest po temu możliwość.

Olszyniec

Ja tu właśnie nauczyłem się pracować...

Gorycki

To twoja zasługa, twoja zdatność. Ale naszym obowiązkiem jest pomóc ci w tej pracy. Otóż ja, nie obwijając w bawełnę, powiem ci całą prawdę.

(przysuwa swój fotel do krzesła Olszyńca i opiera rękę na jego ramieniu)

Właśnie dziś kuzyn mój, pan Stogowski, powiedział do mnie rzecz, która mi zupełnie przypadła do przekonania. On twierdzi, że tacy ludzie jak pan to dźwignie postępu w rolnictwie. My właściciele dajemy środki, ale tacy ludzie jak pan są wykonawcami. Ja po obliczeniu się nie mogę nie tylko prowadzić żadnych ulepszeń gospodarskich, nic nowego, ale muszę zaniechać wszystkiego. Kto prowadzi gospodarstwo istotnie wielkie, choć na terenie niezbyt znowu szerokim, to hrabia Jan Żółkiewski. Panie Henryku, jeżeli twoja wola, to ja postaram się o to, żebyś mógł praktykować u hrabiego Jana?

Olszyniec

(wstając)

Dziękuję panu...

Gorycki

Nie mogę zrozumieć, czy zgadzasz się na moją propozycję, czy tylko...

Olszyniec

Dziękuję panu za tę propozycję, która jest dowodem życzliwości dla mnie, ale na razie...

Gorycki

(wstaje i bierze Olszyńca pod rękę)

Nie bierz tylko tej sprawy ze złej strony, o to jedno cię proszę. My ludzie silni musimy trzeźwość uważać za wytyczną, za punkt honoru. Na razie mogłoby się wydawać, że ja jestem pod jakimś względem — jakże to powiedzieć — niezadowolony czy jak... Sam nie wiem... Ale przecież to sprawa czysta. Można być niezadowolonym z jakiegoś płatnego rządcy, ale człowiek taki jak ty, panie Henryku... Człowieka takiego... Przecież mię chyba pojmujesz, kochany panie...

Olszyniec

(przez chwilę milczy)

Być może, tak... sądzę, że pójdę za radą pańską i udam się do

hrabiego Żółkiewskiego] z prośbą o pozwolenie praktykowania w jego majątku. Ale to nieco później. Obecnie, to jest... dziś wyjadę do Warszawy...

G o r y c k i

Dziś! Cóż pilnego?... Oto co znaczy, gdy kto w gorącej wodzie kąpany. Ja projektowałem tylko tego Żółtyńskiego. Ale jeśli ci to, panie Henryku, miało sprawić przykrość, to rzucający ten plan do kosza — i rzecz skończona. Nieprawdaż — co?

O l s z y n i e c

Nie, proszę pana. Ja sam dawno myślałem o tym, że należy... W gruncie rzeczy należało... Otóż dziś, gdy pan tę kwestię poruszył... Tak, bardzo panu dziękuję. Hr. Żółtyński... Ależ, rozumie się, znakomite gospodarstwo hrabiego Żółtyńskiego...

G o r y c k i

Naturalnie! Tam poznasz, panie Henryku, tę, uważasz, tajemną żyłę dużej afery gospodarczej, tam zagłębisz się w doskonale skonstruowane arkana...

O l s z y n i e c

A więc żegnam pana... Dziękuję za gościnność, serdecznie dziękuję za wszystko...

G o r y c k i

(trzyma długo jego rękę)

Dostrzegam w tonie twej mowy żal, choć starasz się go ukryć. Nie, nie zgodzę się na to, ażebyś odchodził z mojego domu z najdrobniejszą chociażby prószynką żalu w sercu. Za nic się nie zgodzę na to! Musimy się rozstać jak przyjaciele, inaczej cały ten projekt rozstania, jak powiedziałem, rzuca do kosza. Człowiek silny...

O l s z y n i e c

Człowiek silny..

G o r y c k i

Więc jakże?

Olszyniec

Rada pańska zaskoczyła mię niespodziewanie, ale już się zdecydowałem. Będę pana prosił o konie dziś... nad wieczorem.

Gorycki

Dlaczegoż to dziś? W tej gwałtownej chęci wyjazdu właśnie widzę twoją urazę.

Olszyniec

Żadnej urazy, daję panu słowo honoru. Ale muszę dziś wyjechać koniecznie.

Gorycki

Wierzę temu słowu — i dlatego zgadzam się nawet na ten wyjazd dzisiejszy, chociaż doprawdy zasmuci to wszystkich. Ja liczyłem, że kiedyś w tym czasie... (*dzwoni*) Doprawdy, zmartwią się wszyscy.

(*Wchodzi lokaj Szymon*)

Poproś no, Szymonie, panienki. Poproś, żeby przyszła tutaj. Czy jest pan Smugowski w swoim pokoju? — Zmartwią się.

Szymon

Jaśnie pan wyszedł do parku.

Gorycki

No, to poproś panienki.

(*Szymon wychodzi. Do Olszyńca z obłudną życzliwością*)

Ewa tak chciwie korzystała ze wskazówek, które jej pan udzielał. Będzie bardzo zasmucona i dlatego chce ją uprzedzić o pańskim postanowieniu. No, ale panie Henryku — ostatnie słowo: na przyszłość dom mój zawsze stoi dla ciebie otworem. Daj mi słowo, że będziesz nas odwiedzał. Daj uroczyste słowo...

[Scena ósma]

Ewa

Papus?

G o r y c k i
(do Ewy)

Spotka cię smutna wiadomość: pan Olszyniec opuszcza nas i dziś wyjeżdża. (ciszej) Trzeba, żeby obiad...

E w a
(ze zdumieniem)

Pan Olszyniec wyjeżdża? Dokąd?

O l s z y n i e c

Tak się układają interesa, że muszę opuścić Wikliny i wyjechać do Warszawy.

E w a
Ale... dlaczego?

G o r y c k i
(zimno)

Dlatego, że pan Henryk tak postanowił. Widzi pan, i córka moja podziela mój szczery żal...

E w a
Nie mogę zrozumieć, co wpłynęło na to postanowienie... Nie mogę zrozumieć...

O l s z y n i e c
Żegnam panią...

E w a
(Podaje mu rękę, później wyrывa ją nieznacznie i wolno wychodzi z pokoju. Olszyniec patrzy za nią długo. Potem zwraca się do Goryckiego)

[S c e n a d z i e w i ą t a]

O l s z y n i e c
(z tłumionym wybuchem)

Ja krótko... powiem...

G o r y c k i
(*cicho*)

A...

O l s z y n i e c

Panie Gorycki... Tak jest, tak jest...

G o r y c k i
(*zimno, stanowczo*)

Ja... nie jestem ciekawy pańskich tajemnic. Darujesz pan...

O l s z y n i e c
(*błagalnie, z uniesieniem*)

Nie, niech pan powstrzyma się chwilę. Powiniennem był dawno, kiedy wybuchła ta miłość, wyjechać, zginąć z oczu. Nie było... siły. A teraz już to na próżno. Daremnie wszystko...

G o r y c k i

Łaskawy panie, powtarzam raz jeszcze, że te jakieś uczucia pańskie nie zaciekawiają mnie ani trochę. Zresztą (*z szyderstwem*) ja je dawno znałem...

O l s z y n i e c

Nie było w nich jednego cienia. Panna Ewa ma duszę tak przeczystą. Oszalałem, to prawda. Panie, ja rozumiem wszystko, widzę przepaść, która nas dzieli. Ja przecie się nie łudzę... Jestem człowiek zupełnie biedny. Pochodzę ze zubożałej rodziny drobno-szlacheckiej. Ale ja też nic nie chcę. Nie marzę nawet nigdy o tym, żeby panna Ewa zostać miała moją żoną.

G o r y c k i

Ależ, mój łaskawco, zastanów się z łaski swojej, co mówisz. Jest to śmieszne! Po prostu śmieszne! Moja córka nie będzie chodziła w jednej sukni, bo jest dziedziczką dużego imienia i znacznej fortuny. Zastanów się, powtarzam, mój panie Henryku, nad tym, co mówisz, i przyjdź do siebie. Są to piękne może chimery młodości, ale je sobie musisz z głowy wybić, to darmo.

Olszyniec

Nie, to nie są chimery. Jest to największe uczucie, jakie człowiek mieć może... Ja zapewniłbym jej szczęście, ja bym żyły dla niej otworzył, zapracowałbym się dla niej. Ona jest moją duchowo. Panie, przysięgam.

Gorycki
(z pasją)

Łudzisz się, mój panie, że ona jest, jak mówisz, twoją duchowo. Wiem dobrze, że usiłowałeś bałamucić jej pojęcia niedorzecznymi ideałami, wiem nawet, że poniekąd stało się według twych zamiarów, ale zaręczam ci, że to była bardzo nieszkodliwa wietrzna ospa.

Olszyniec

Nie, nie. To pan się mylisz. Tej duszy już nic nie skazi. Ja mam ręce silne i wolę silną. Ja bym zdusił własnymi rękami wszelkie uczucie, gdyby nie to, że tutaj kształtowałem zarazem nieśmiertelnego ducha. Dlatego się nie mogłem oderwać. O, bądź pan dobrym, bądź ojcem zarówno tego ducha, jak jesteś ciała. Możesz uczynić, co zechcesz, tak jest, ale spełń ten dobry uczynek...

Gorycki

Czego pan u Boga Ojca życzysz sobie ode mnie?

Olszyniec

Tylko ta jedna jedyna prośba: niech pan jeszcze teraz nie wydaje panny Ewy za męża. Ona jest jeszcze tak młoda. Pan Smugowski...

Gorycki

Już powiedziałem, jakie są moje myśli, i nic, zdaje się, nie mamy sobie do nadmienienia. Jeżeli sobie pan życzy, mogę natychmiast napisać list rekomendacyjny do hrabiego Żółtowskiego.

Olszyniec

Ach, więc to była myśl...

G o r y c k i

Tak, umyślnie proponowałem. Nie przeczę wcale. Ród mój spowinowacony jest ze znakomitymi nazwiskami w kraju. Córka moja może być żoną tylko równego jej człowieka. Nie mogłem patrzeć na niestosowny afekt... To darmo.

O l s z y n i e c

Panna Ewa należy duchem do mnie i nic nie zdoła rozerwać tego związku.

G o r y c k i

Mój panie, zaczyna mię irytować to, co mówisz.

O l s z y n i e c

Szlachcic polski prosił niegdyś o rękę córki królewskiej.

G o r y c k i

Ale to nie był hołysz bez imienia.

O l s z y n i e c

Za cóż mię pan znieważasz?

G o r y c k i

To pan mię znieważasz. Zakochać się w mojej córce może nawet pastuch, ale mówić mu o tym do mnie nie wolno. Gdyby się zbliżył z podobnym wyznaniem, tobym go kazał batami oćwiczyć.

O l s z y n i e c
(*hamując się*)

Rachujże się pan...

G o r y c k i

Już dosyć! Idź pan!

(*wchodzi Ewa i zatrzymuje się przy drzwiach*)

[Scena dziesiąta]

Olszyniec

Ach, podły...

Gorycki
(z furją)

Precz!

(Olszyniec rzuca się do niego z wyciągniętymi rękami. Wtedy woła na niego)

E w a

Panie Olszyniec!

Olszyniec
(wstrzymuje się)

Ach, Boże!...

Gorycki
(spostrzegając Ewę, do niej)

Oto widzisz!

(Zbliża się do Olszyńca i wymierza mu policzek)

E w a

Ach!

(Olszyniec upada w fotel stojący przy stole, całym korpusem i z wyciągniętymi rękami rzuca się twarzą na dół na stół i łka kilkakrotnie głośno)

Gorycki

Oto... do czego... prowadzi...

(Ewa stoi nieruchoma. Z lewej strony wchodzi Smugowski. Olszyniec wstaje po chwili i ciężkim krokiem, nie patrząc na nikogo, wychodzi środkowymi drzwiami, zatraskując je za sobą)

[Scena jedenasta]

Smugowski

Mówił mi Szymon... *(ze zdumieniem spostrzegając Olszyńca)* Cóż to? Pan Olszyniec...

Gorycki
(pomieszany)

Ech... Dostał jakieś niepomysłne listy od rodziny. Usiłowaliśmy go nadaremnie pocieszyć. Dziś ma wyjechać...

Smugowski

Wyjeżdża dziś? dokąd?

Gorycki

Zdaje się...

Ewa

Kuzynie...

Gorycki

Proszę cię, Ewuniu, wydaj polecenie...
(za sceną słysząc strzał)

Gorycki
(siada bezwładnie)

Co to!

Ewa

Boże miłosierny!

Smugowski
(zwraca się ku niej)

Kuzynko... uspokój się proszę...

Gorycki
(do Smugowskiego)

Zlituj się... zobacz...

Smugowski
(wybiegając)

Natychmiast.

[Scena dwunasta]

(Trwa długie milczenie. Za sceną w dole słychać gwar i okrzyki. Ewa stoi oparta rękoma o stół i patrzy we drzwi. Gorycki siedzi bezwładnie w fotelu z zamkniętymi oczyma. Gwar się zbliża, wreszcie jeden z lokai otwiera drzwi na oścież. Chwilę nikt nie wchodzi. Słychać zbliżające się głosy)

Pierwszy głos

Wolno, wolno, cóż szarpiesz!

Drugi głos

Głowę podnieś, gapo!

Trzeci głos
(po pauzie)

Leć po wodę! Po wodę, mówię!

Smugowski
(za sceną)

Zachodź na lewo...

(Pięciu lokai i Smugowski niosą, tłocząc się i popychając, Olszyńca. Ewa, ujrawszy to, zasłania się rękami, jak by odpychała ten widok, później prowadzi go oczami. Niosący składają ciało rannego Olszyńca na sofie w głębi i zasłaniają go sobą. Na palcach wchodzi inne osoby ze służby i otaczają ją tak, że rannego wcale prawie nie widać. Co chwila ktoś wybiega i wraca, to z wodą, z nożyczkami i bielizną. Smugowski klęka przy sofie, rozcina nożyczkami ubranie na rannym, macza ręcznik, obmywa i bada ranę. Co chwila mówi)

Smugowski

Podnieś... Teraz trzymaj rękę. Trzymaj, o tu! Czekaaj, czekaaj...

Jeden z lokai
(z cicha)

Robi piersiami, widzicie...

Drugi

Wzdycha...

Trzeci

Wzdycha...

(milczenie)

Wszyscy

Krew się wali ustami!

Jeden z lokai

Oho, krew gębą broczy...

Drugi

Już na nic...

(Smugowski podnosi się z kolan. Ma ręce we krwi. Szybko zbliża się do stołu, ściąga z niego dużą, czarną serwetę i zarzuca ją na trupa Olszyńca w ten sposób, że prawie cała sofa jest okryta. Później mówi do lokajów)

Smugowski

No, rozejść się! Co tu stoicie?

(Lokaje wychodzą z wolna szepcząc między sobą. Smugowski wyciera chustką od nosa zbroczone ręce, zbliża się do Goryckiego i mówi)

Skończone... Trzeba było wyprowadzić... (do Ewy) Kuzynko, chodźmy stąd, kuzynko... (ujmuje ją pod ramię)

Ewa

(odsuwa go dziwnym gestem, idzie do Goryckiego i wskazując na zwłoki mówi)

Chcę zobaczyć...

Gorycki
(chrapliwym głosem do Smugowskiego)

Wyprowadź ją, wyprowadź!

Ewa
Chcę zobaczyć!

Gorycki
(podnosząc na nią oczy)
Zobaczyć... A tak... zobaczyć...

Ewa
(do Smugowskiego, który ją usiłuje ująć pod rękę — szeptem)
Ja chcę twarz zobaczyć...
(Smugowski prowadzi ją do sofy, odstania róg kapy i ukazuje twarz zmarłego. Ewa wpatruje się w nią i mówi)

Aha, aha...
(odchodzi prowadzona przez Smugowskiego, powtarzając)

Aha, aha...
(za nimi wlecze się Gorycki)

Koniec aktu pierwszego

Uwagi o tekście

Tekst aktu dramatycznego zachował się w zeszycie formatu 18×22 cm, oprawnym w czarną ceratę, zawierającym 76 kart papieru liniowanego, zapisanych zasadniczo obustronnie. Zeszytów takich zakupił autor większą ilość około r. 1900, wypełniał je tekstem *Popiołów*. Z zawałonej piwnicy na Starym Mieście uratowano ich po katastrofie 1944 część tylko. Z siedmiu dochowanych — ten z tekstem aktu wydaje się chyba najwcześniejszy; mieści w sobie również fragmenty tekstu przynależne wyłącznie tylko do t. 1 *Popiołów*. W zeszytach pozostałych znajdujemy części tomów 2 i 3.

Zeszyt ten służył autorowi na dwa co najmniej zawody: kiedyś zapisał jego sporą część jednym utworem, po czym odwróciwszy i zaczynając znowu od strony pierwszej różnymi urywkami, w ciągu zaś dalszym wypełni go utworem drugim. Z jednej strony zeszytu znajdujemy (s. rkpsu 11—93) rozdziały *Żołnierska dola* i *Mantua*, a więc przynależne do końca t. 1 *Popiołów*, z drugiej (s. 152—196) — zapisany w jednym ciągu

właśnie tekst aktu dramatycznego; wypełnia on tam kart dwadzieścia osiem i pół. Karta pierwsza (s. 154—155) ma stronicę *recto* czystą (była przeznaczona na tytuł), na *verso* zanotował autor częściowo wykaz osób dramatu. Tak więc przeważną część zeszytu wypełniają rozdziały *Popiołów* oraz dramat.

Narzuca się więc pytanie, który zapis jest wcześniejszy: ów z powieścią, czy ten z dramatem? Czy autor przerwawszy pracę nad *Popiołami* zajął się przejściowo dramatem, czy też poniechawszy dramat, oddał się powieści? Pytanie ważne, bo rozwiązanie jego może dać niejaką, choćby względną wskazówkę chronologiczną.

Otóż da się dowieść prawie na pewno, że do zeszytu wpisany został najpierw akt dramatu, a rozdziały powieści dopiero później. Dowód zaś na to jest taki. Strony 28—93 wypełniają teksty rozdziału *Mantua*; teksty są dwa: brulionowy na s. 28—57 i odpis na czysto na s. 58—93. Autor w brulionie ukończył rozdział sceną salutowania jeńców przez Foissac-Latoura, tzn. tak, jak się kończy w tekście drukowanym. Tymczasem odpis na czysto nie jest całkowity, urywa się na słowach: „i nieprzytomny zgoła runął na posłanie“ (tzn. w wydaniu z r. 1956 — t. 1, s. 270). Część pozostała, od: „Spał teraz...“ aż do końca, stanowi w rozdziale osobny ustęp o poddaniu twierdzy, i ona już przepisana tutaj nie została.

W tym właśnie widzimy dowód. Gdyby dalsze karty zeszytu były czyste, autor niewątpliwie przepisałby na nich z brulionu brakującą resztę rozdziału. Nie były jednak czyste. Wypełniał je tekst dramatu wcześniej już tam wpisanego. Wobec tego ową resztę rozdziału przeniósł już przepisujący do zeszytu następnego. Wolno skonkludować: akt dramatu wpisany został do zeszytu przed rozdziałami powieści, jest więc od nich wcześniejszy.

O ile wcześniejszy? Czy autor pisał go, zanim zaczął rozdział *Żołnierska dola*, czy może nawet wcześniej, zanim się wziął w ogóle do pisania powieści? — na to już odpowiedzi w przekazie rękopiśmiennym nie znajdziemy. A że nie mamy jej również skądinąd, wolno mniemać tak i owak. Termin *ad quem* da się poniekąd wyznaczyć, termin *a quo* jest niewyraźny, choć zapewne od tamtego niezbyt odległy.

Można by się już teraz pokusić o bliższe jego sprecyzowanie w kalendarzu. Wiemy, że schyłek r. 1899 był jeszcze zajęty wykończaniem *Ludzi bezdomnych*: powieść wyszła w marcu 1900. Żeromski od razu bierze się ostro do *Popiołów*. 1 sierpnia pisze do Wyslouchowej:

„Większa powieść, której się poświęcam od dłuższego czasu, jest bezkształtnym brulionem, z którego dopiero po jakichś dwóch latach może wybrnąć“.

W czerwcu 1901 Żeromski wyjeżdża do Zakopanego, nie przerywając pracy i nie dając się od niej oderwać. Proszony przez Kasprowicza o współpracownictwo w *Tygodniku Słowa Polskiego*, odmawia 14 lipca:

„Raczy Szanowny Pan przebaczyć, że nic konkretnego w danej chwili deklarować nie mogę. Od dwu lat pracuję nad utworem *Popioły*. Jeżeli zdolam wyjść z tego stanu, to zaraz napiszę obszerniej“.

Zdołał zaś dopiero z początkiem 1902 r.; w marcu tegoż roku umawia

się już z Gebethnerem o druk powieści w *Tygodniku Ilustrowanym*. Wnet też wyjeżdża na południe, gdzie zresztą dotwarza jeszcze wstawki do utworu, do pierwszego nawet tomu.

W tym układzie rzeczy niewiele zapewne ryzykujemy, określając czas powstania obchodzącego nas tu aktu dramatycznego na wiosnę czy na lato 1900. Względy, które się w dalszym ciągu weźmie pod uwagę, kazałyby opowiedzieć się raczej za latem.

Z kolei może powstać kwestia dalsza: czy początek, pierwsza realizacja koncepcji dramatu pokrywa się z początkiem zapisywania jej w zeszycie? Inaczej mówiąc, czy tekst dochowany w zeszycie daje pierwotną, brulionową wersję aktu, czy też wersję skontrolowaną? A może na odwrót: brulion aktu powstał wcześniej, do zeszytu zaś został wpisany na czysto? Wyjaśnienie tej sprawy nie jest również obojętne przy wyznaczaniu chronologii utworu.

Odpowiedź na takie pytanie nie może być całkowicie zdecydowana. Jedno wydaje się pewne. Ogląd strony graficznej pozwoliłby przyjąć, że Żeromski w zeszycie zaczął przepisywać na czysto tekst z jakiejś wersji już gotowej. Sceny początkowe są niemal wolne od poprawek. Pewne jest wszelako i to, że autor przepisując utwór, tekst jego rozszerzył. Mianowicie opowiadanie Ewy o przygodzie Miecia z Szeryfem zostało wpisane w zeszycie dopiero po scenie szóstej i przy pomocy odsyłacza włączone do sceny drugiej. Jest ono najoczywistej późniejszą wstawką, jak się zdaje, znowu tu przepisaną z jakiejś redakcji brulionowej.

Natomiast o scenach późniejszych aktu wypadnie powiedzieć z dużym przekonaniem, że były w zachowanym rękopisie tworzone na gorąco, tyle w nich kreśleń i przeróbek stylistycznych. Wolno wnosić, że wzięwszy się do przepisywania nie miał autor chyba jeszcze ukończonego aktu pierwszego. Od sceny bodajże siódmej tekst formował mu się dopiero pod piórem. Można to pokazać na przykładach.

W rozmowie z Olszyńcem (scena siódma) Gorycki wyklada swój pogląd na rentowność gospodarki rolnej. „Ziemia — powiada — powinna dawać dochód, w przeciwnym razie jest tylko źródłem ruiny“. Drugie z tych zdań autor przekreślił i nadpisał inne: „Gdzie człowiek na niej krok stawia, tam leży rubel“. Dalszy ciąg tekstu nawiązuje nie do zdania przekreślonego, ale do nadpisanego. Poprawka powstała zatem od razu, w toku pisania. Albo dalej: Gorycki w tymże odezwanii chce przejść do rzeczy właściwej, toteż skończył je zdaniem: „Zresztą nie o takich materiałach chciałem z panem pomówić“. I to także zdanie zostało w rękopisie przekreślone, a przeskok rozmowy uwydatniony dopiero w odezwanii się następnym Goryckiego. Środkowe odezwanie się Olszyńca („Mozemy wyżyć...“) zostało zatem poddane zamysłowi twórczemu znowu dopiero w tym momencie, jest więc nowe, nie pochodzi z jakiejś wersji wcześniejszej. Podobnie w dalszym ciągu teje rozmowy Gorycki niby to powstrzymuje Olszyńca, zapowiadającego natychmiast wyjazd: „Dlaczegoż to dziś? (Pali się cz)¹. W tej gwałtowności...“. I tu przekreślenie zdania decyduje o ujęciu

¹ W nawiasy kątowe () ujęto wyrazy przekreślone w autografie.

zdanía następnego, czyli że przekreślono je znowu w toku pisania, a nie przepisywania. To wszystko są procedery pracy brulionowej. Przykłady ich można by jeszcze mnożyć.

Zachodzą w rękopisie także zmiany głębsze, strukturalne. W dalszym ciągu tejże sceny Gorycki mówi do lokaja: „Poproś no, Szymonie, panienkę. Poproś, żeby przysłała tutaj. (*Szymon wychodzi (do Olszyńca)*) Zmartwią się wszyscy“. Otóż i tutaj autor zaraz po odpowiednich wykreśleniach napisał wersję nową: po „przysłała tutaj“ następuje dalsze odezwanie się do lokaja: „Czy jest pan Smugowski w swoim pokoju?“ W tej wersji lokaj, nie wychodząc wcale, może na to pytanie dać odpowiedź; przyjeźdźnego pana poinformuje wszelako o pytaniu za chwilę. Zwrot o Smugowskim został nowo wprowadzony. Chodzi oczywiście o to, by uzasadnić nagłe zjawienie się Smugowskiego na początku sceny jedenastej; oczywiście — jak sam mówi — zjawił się zawiadomiony uprzednio przez Szymona. Sceny wiążą się zatem w sposób bardziej zwarty, umotywowany. I to dowodzi, że proces tworzenia był w toku, rozmyśl autorski nie został jeszcze doprowadzony do końca, nie ze wszystkim był skryształizowany.

Fakt — jak się zdaje, pewny — że końcowe części aktu I powstawały sposobem brulionowym, jest zarazem przesłanką wystarczającą do stwierdzenia dalszego, że praca nad dramatem urwała się na tym akcie, że więcej tekstu nie było. Na s. 96 rękopisu zaznaczył autor pod tekstem: „Koniec aktu I“, a na następnej u góry widnieje w środku i podkreślone jako tytuł: „Akt II“. Z tekstu tego aktu nie ma już wszelako ani jednego zdania, stronica ta i następna zostały do dziś czyste, a dalsze podówczas najpewniej czyste były również. Nie zdaje się, żeby autor przeniósł się z tekstem do innego zeszytu, mając ten — jak się rzekło — prawie cały wolny. Utwór od razu był fragmentem nie wykończonym i w tym układzie rzeczy skazanym na poniechanie.

Tego samego mógłby dowodzić fakt, że autor nie ustalił był sobie jeszcze definitywnie ani tytułu sztuki, ani nawet nazwisk osób. Ewę nazywają przejściowo Fweliną, Smugowskiego Stogowskim, a hrabiego Żółtyńskiego hrabią Żółkiewskim, to znów Żółtowskim; nazwisko Miecía jest jeszcze nie dość zdecydowane: Peszyn (?), może Peszyński; Smugowski mówiac o wycieczce „na Monte...“ również nazwy góry nie podaje, została w autografie zastąpiona kropkami. Podobne niewykończenie znajdujemy w rozgrupowaniu aktu. Autor w rękopisie zaznacza osobnymi tytułikami tylko sceny: czwartą, piątą i szóstą; poprzednie i następne wyróżnić się musi dopiero przy obecnej potrzebie, ujmując je w druku oczywiście w nawiasy prostokątne, jako wstawki redaktorskie.

Natomiast nie zachodzi chyba potrzeba, żeby się tu rejestrowało wszystkie kreślenia oraz drobne odmiany i odmianki tekstu. Jest ich sporo, zwłaszcza w scenach końcowych, wszystkie zaś na ogół przynoszą uszczegółowienie i udoskonalenie ujęć stylistycznych, ale przy rekonstrukcji genetycznej utworu niewiele więcej pomagają. Trzeba powiedzieć, że na ogół dramat został zawiązany i osadzony mocną ręką, w kształcie od razu zasadniczo sformowanym.

2. Fragment pierwszej redakcji „Dumy o hetmanie“

W tym samym zeszycie, w którym się mieści *Dramatu akt pierwszy*, a którego chronologię ustaliliśmy tu na lato 1900, po stronie zawierającej rozdziały *Popiołów*, na przednim miejscu znajdujemy tekst, którego obecność tutaj musi zdumieć jak najżywiej. Od pierwszych zaraz słów widać, że jest to wersja opowiadania o Cecorze, część bohaterskiego rapsodu o Żółkiewskim, utrzymanego w szacie językowej majestatycznej, a więc ponad wszelką wątpliwość wersja *Dumy o hetmanie*.

Mieliśmy ten utwór za dzieło z r. 1908 i oczywiście była w tym racja. Nie da się zaprzeczyć, że część jego środkowa, *Widziadła snu*, nie mogłaby powstać bez studiów i wrażeń wyniesionych z muzeów włoskich na wiosnę 1907. W notisie zawierającym zapiski z tej podróży² raz po raz znajdujemy zanotowane pierwsze pomysły niektórych scen tej części, stanowiącej zresztą objętościowo część utworu najznaczniejszą. Według trafnego spostrzeżenia Henryka Markiewicza, nie powstałaby ona również bez podniety ze strony utworu Gustawa Flauberta *Kuszenie św. Antoniego*, a przekład tego dzieła (pióra Antoniego Langego) wyszedł drukiem właśnie w roku 1907. Nie ulega wątpliwości, koncepcja *Dumy o hetmanie* w jej dzisiejszym kształcie jest owocem tego właśnie roku.

Nie wiedzieliśmy jednakowoż, że koncepcja ta była nawrotem do pomysłu dużo wcześniejszego, że opowieść o klęsce cecorskiej i o śmierci Żółkiewskiego formowała się w wyobraźni pisarza jeszcze przed *Popiołami*. Ale zaraz może powstać pytanie: przed czy też w trakcie realizowania pierwszej części powieści? W tym również wypadku, szukając odpowiedzi, zdani jesteśmy wyłącznie tylko na przekaz rękopiśmienny. Co z niego można wyczytać?

Rękopis fragmentu jest niewątpliwie brulionem. Jeden przykład unaczni to wyrażnie:

„On szedł niespracowany, (dźwigając starą zarobioną głowę) w głodzie i niespaniu. (Wargi na węgiel zgorzałe, (język wyschły jak trzaska chowały) (zatrzymały) zatrzymały uśmiech pogardy (język wyschły jak) oczy) Żupan na nim od kurzu szerniał, żyły się wzdęły w nogach nie rozszutych od tyłu dni“³.

Nie trzeba tu osobno wskazywać wahań autora, dowodzących pierwszego siłowania się wyobraźni z wyrazem.

Brulion ten zaczyna się od pierwszej zaraz linijki na s. 7 zeszytu. Dziwi to o tyle, że dwie poprzednie kartki (s. 1—4) zostały nie zapisane, a fragment nie jest niewątpliwie redakcją wstępnych zdań utworu, jest jego dalszym ciągiem. Początek tej redakcji utworu znajdować się musiał w jakimś innym zeszycie. Początku owego ponadto musiało być sporo; dochowana wersja brulionowa ma w redakcji ostatecznej swój odpowiednik

² S. Żeromski, *Pisma*. Pod redakcją S. Pigonia. T. 26: *Wspomnienia*. [Warszawa] 1951, s. 119 i *passim*.

³ Ostatnie zdanie dopisane jest na *verso* karty poprzedniej, a więc najpóźniej.

na s. 141—142 wydania z r. 1957⁴, a więc mieści się niemal już pod koniec *Prologu*.

Tekst ustępu nie wypełnia całej kartki, na jej *verso* trzecia część stronicy od dołu została czysta. Autor i tu urwał pisanie. Stronica następna zeszytu zawiera słowniczek wyrazów i zwrotów, zestawiony najoczywiściej dla użytkowania w *Popiołach*. Stronice zaś 8 i 9 wypełnione są wypisami z *Boskiej komedii* Dantego w tekście włoskim i polskim oraz fragmentem sceny balkonowej *Romea i Julii* w tłumaczeniu polskim. Fragment włoski Dantego użytkowany został w rozdziale *Żołnierska dola*, którego tekst mieści się w tymże zeszytku. Od s. 10 zaś częściowo, a od s. 11 już bez przerwy idzie tekst rozdziałów z końcowej części tomu 1 *Popiołów*.

Co stąd wynika? To najpierw, że tekstu brulionowego *Dumy o hetmanie* już wówczas było więcej i że początek jego przepadł. Gdyby nie to, okazałoby się zapewne, że cały nieomal *Prolog* w pierwotnym ujęciu powstał nie w r. 1907, ale znacznie wcześniej. Po wtóre zaś, że według wszelkiego prawdopodobieństwa powstawał on, zanim jeszcze Żeromski wciągnął się całkowicie w tworzenie *Popiołów*; a zatem najpewniej w pierwszej połowie roku 1900. Może w ogóle cały ten omawiany zeszyt był pierwotnie przeznaczony na utwory odrębne, mające wyprzedzić *Popioły*, tzn. właśnie na pierwszy rzut *Dumy o hetmanie* oraz na dramat, a później dopiero przygodnie nadał mu pisarz inne przeznaczenie. Oczywiście poza hipotezę wyjść tu nie zdołamy.

Tekst fragmentu pełen jest kreśleń i wariantów; kreślone są wyrazy, wyrażenia i całe zdania. Nie ma może powodu, by tu odtwarzać drobiazgowo cały ten przebieg kształtowania wyrazu stylistycznego. Zagadnienie warsztatu literackiego jest przy pisarstwie Żeromskiego zagadnieniem pierwszorzędnej wagi, ale podjąć je potrzeba na materiale szerszym i donioślejszym.

Podajemy zatem poniżej tekst fragmentu w ostatecznym jego ujęciu, oczyszczony z wyrazów i zwrotów przekreślonych i odrzuconych.

Siedem dni upłynęło i siedem nocy od chwili wyjścia zastępu z okopów Cecory. Głód wyostrzył twarze żołnierskie jak miecze, w oczach zapalił ogień nocny znad bagien, szczęki zawarł, a słowa zmierzwił i wbił w piersi. Nie brakło na pokarm koni bojowych, ale chwili nie było jednej, żeby ogień rozłożyć i mięso piec. Wody w stepie nie było. Deszcz ustał.

Ludzie szli bez snu dniami i nocami. Więc jedni walili się na wozy jak martwe kłody wpośród bitwy, inni tracili rozum i krzykiem wzywali pomsty na głowę wodza.

On siedł niespracowany w głodzie i niespaniu. Żupan na nim

⁴ S. Żeromski, *Dzieła*. Pod redakcją S. Pigonia. Wstęp H. Markiewiczza. [Dział I], t. 3. [Warszawa] 1957. Od słów: „Pali ogień pragnienia...” — aż do: „...w tatarskie strzały”.

od kurzu szerniał, żyły się wzdęły w nogach, nie rozzuty od tyłu dni. Choć stare kości były zbite, żyły wywinione, włosy star-gane, szedł po dawnemu. W wargach na węgiel zgorzłych został uśmiech pogardy. Nikt nie widział, jak osobny, jak popędliwy, jak zaciekły wicher sercem jego włada. Zwolna otwierało się przed nim coś skrytego aż dotąd, a osobliwego ponad wszelkie słowo, jako-by drzwi kute schodziły z rdzawych zawias. Wiedział, że ma to ujrzeć i że już widoku tego nic sprzed oczu nie uchyli.

Wiedział, że stanie się z nim wtedy jak z żaglem po morzu le-cącego okrętu. Wiatry go na one pustynie wody spuszczone z otchłani porwą i nieść będą, jako zechcą.

3. Fragment opowiadania

W tymże samym zeszytcie, z którego wydobyliśmy podane wyżej frag-menty dwóch utworów, znajdujemy jeszcze fragment trzeci, najmniejszy, a zarazem najbardziej zagadkowy. Między stronicami 44 a 45, zawierają-cymi brulionową redakcję rozdziału *Mantua*, natrafiamy na luźną kartkę papieru, wyrwaną z jakiegoś podobnego zeszytu i zgiętą wpół.

Na pierwszej stronie tak utworzonego arkusika zapisał sobie Żeromski terminy polskie i francuskie tudzież objaśnienia różnych szczegółów fortyfikacji (co to są barkany-*lunettes*, dwuramniki, kurtyna, paralele, policzki strzelnic itp.). Wszystko to ponad wszelką wątpliwość szczegóły rzeczowe, potrzebne autorowi do opisu umocnień artyleryjskich twierdzy Mantui i w opisie walk oblężniczych rzeczywiście tam użytkowane.

Nie takie wszelako było pierwotne przeznaczenie kartki. Została ona wyrwana z jakiegoś osobnego zeszytu już po częściowym zapisaniu. Otwarta, zawiera ona mianowicie na odwrocie tekst utworu innego. Bez tytułu, zaczęty na pierwszej linijce od góry, i to nawet bez zaznaczenia akapitu, przynosi fragment opowiadania o starym kamieniarzu Walantym. Nie objaśniono tutaj tej postaci: kto to jest i gdzie się sprawa dzieje. Tekst opowiadania daje wyraźnie ciąg dalszy. Poprzednio, na jakichś nie dochowanych kartach wcześniejszych, musiała być mowa o tym człowieku, już go tam czytelnikowi przedstawiono. Dziadyga okrwty najędźniejszymi łachmanami, ale w inteligenckim kapeluszu, zajęty robotą najmoźniejszą, musiał być kimś osobliwym. Kto to, jakie jego losy przeszedł i przyszłe — nic nie wiadomo. Opowiadanie zostało w rękopisie również przerwane. Tekst jego zajmuje górne pół strony, reszta karty czysta.

Żaden ze znanych utworów Żeromskiego nie ma takiego bohatera ni takiego wątku. Opowiadanie miało być utworem samodzielnym, ale zostało niechcinnie zarzucone i poza tym strzępem nic z niego się nie dochowało. Przecież nawet jako strzęp warte jest ogłoszenia. Sam pomysł jego przy-pada również chyba na r. 1900, najpewniej na pierwszą połowę.

Nad brzegiem rowu leżała z jednej strony kupa brył kwarcu, z drugiej rozwalila się duża masa potłuczonych na ostre kanty

ręką starego. Kulasy Walantego zanurzone w buciskach okrytych warstwą białego pyłu leżały bezwładnie w tłuczonym szabrze.

Zgrzebne portki, które przybrały kolor szosy, zmarszczone w licznych fałdach, nie sięgały kostek. Kamizelka ruda ze starości, zapięta na jeden guzik, osłaniała plecy i piersi. Spod niej wychylała się koszula koloru spodni. Nakrywał to wszystko kapeluszek inteligencki, niegdyś brązowy, obecnie

4. U kolebki cyklu pomorskiego

Wczesnym latem 1920, gdy zmagania się wojenne coraz bliżej podchodziły pod Warszawę, Zeromski przebywając na Pomorzu przejmował się troskami o stosunki panujące na tamtejszym terenie. Były złe. Kaszubi znaleźli się w granicach Polski po wielu, wielu latach odłączenia; ponowne zrośnięcie się nie przychodziło im łatwo. Świeża klęska nasza w plebiscycie na Warmii i Mazurach działała przygnębiająco. Pierwsze próby współzycia elementu polskiego przyjeźdnego z tubylczym, zarówno na terenie administracyjnym, jak i w sąsiedzkich stosunkach, wypadały fatalnie. Odcięcie od Gdańska zburzyło dotychczasowy układ ekonomiczny i odbijało się na warunkach bytowania rybaków. Rozgoryczenie, żal i złość szerzyły się nagminnie wśród ludności miejscowej.

Wrzenie musiało być duże i przybierać formy jaskrawe, skoro odgłosy jego dochodziły aż do prasy stołecznej. Jeden z korespondentów Kuriera Warszawskiego tudzież ktoś z tubylców dawali temu wyraz w osobnych artykułach (nr: 194, z 15 VII, i 199, z 20 VII 1920). Nie wiedzieliśmy, że artykuły te wyszły pośrednio także z podniety Żeromskiego. I tu również natrafiamy na przykład jego nieustającego „czującego wiedzenia“.

Pisarz, który zrosł się był uczuciowo z całym tym północno-zachodnim obrzeżem polskim, chociażby ostatnio jako prelegent przedplebiscytowy, był tym złowrogim stanem rzeczy przerażony. Zgodnie ze swą pasją społecznikowską, chciał mu doraźnie zaradzić. W porozumieniu z miejscowymi działaczami zainicjował więc publiczną dyskusję.

W kajecie szkolnym, który uprzednio służył był córeczce Monice do dziecinnych egzercycji rysunkowych, znajdujemy brulionowy rzut odezwy, wzywającej na wiec w tej bolesnej aktualnej sprawie.

Obywatele!

Przyłączenie do niepodległej Rzeczypospolitej skrawka wybrzeża Bałtyku dało nam możliwość odetchnienia po raz pierwszy nie tylko zdrowym, lecz i wolnym powietrzem tej czarującej strony. Przybywający z głębi ładu polskiego na to nasze wybrzeże, stajemy wśród ludu Kaszubów jako ich stęsknieni bracia i wierni przyjaciele. Lecz oto zamiast radości w oczach, gdy w nich witamy współrodaków, spojrzenie zniechęcenia, a w sło-

wie ich postrzegamy gorycz zawodu. Twarda ich mowa wyjawia żal, iż do innej Polski wzdychali w ciągu długiej zimy swego przyziemnego żywota.

Lista przyczyn i powodów oziębienia uczucia rybaków i rolników Pomorza dla wspólnej ojczyzny wiele by miejsca zajęła. Zamiast ją tutaj przytaczyć, zabierzmy się raczej wszyscy planowo i sprawnie do dzieła naprawy tego, co się zepsuło w tym stosunku, który żadną miarą zepsutym być nie może. Niechaj ci, którym się tego lata udało przybyć do Orłowa, Gdyni, na Hel, do Pucka czy gdzie indziej nad morze, utworzą czasową organizację, która by na zorganizowanych wiecach wysłuchiwała zażaleń Kaszubów, na zażalenia te dała odpowiedź, a gdy źródło złego da się usunąć, znalazła doraźny i oczywisty ratunek, wpływając wszelkimi środkami na miarodajne czynniki, sam zaś lud tutejszy pouczyła o stanie rzeczy w Polsce i na nowo w jego sercu obudziła zachwianą miłość do Polski.

Odezwa została niebawem w rozszerzonym nieco ujęciu wydrukowana w formie ulotki. Wacław Borowy, który zbierał pilnie teksty tego rodzaju wystąpień publicznych Żeromskiego⁵, do tego tekstu nie dotarł. Trzeba więc podać go tutaj z unikatowego egzemplarza ulotki, zachowanej w zbiorach po autorze.

Obywatele!

Przybywając z głębi ładu polskiego na to nasze wybrzeże, stajemy wśród ludu Kaszubów jako stęsknieni ich bracia i wierni przyjaciele. Lecz oto gdy w nich witamy współrodaków, zamiast radości w oczach widzimy spojrzenie zniechęcenia, a w słowie spostrzegamy gorycz zawodu. Twarda ich mowa wyjawia skargę, iż do innej Polski wzdychali w ciągu długiej nocy swego niewolniczego żywota.

Lista uzasadnionych przyczyn i powodów oziębienia uczucia rybaków i rolników Pomorza dla wspólnej ojczyzny — wiele by miejsca zabrała. Zamiast je teraz przed oczy wysuwać, zabierzmy się raczej wszyscy planowo i sprawnie do dzieła naprawy tego, co się zepsuło w tym stosunku, który żadną miarą zepsutym być nie może. Każdy, komu tego lata udało się przybyć do Sopotu, Orłowa, Gdyni, Pucka, na Hel czy gdziekolwiek nad morze,

⁵ S. Żeromski, *Elegie i inne pisma literackie i społeczne*. Przygotował do druku W. Borowy. Warszawa 1928. Zob. s. 203 i n.: *Odezwy w sprawach publicznych*.

winien dążyć i pomagać do stworzenia doraźnej organizacji, która by, na zebraniach i wiecach w tym celu zwołanych, wysłuchiwała zażaleń ludu kaszubskiego, a gdy powód złego da się usunąć, znalazła natychmiastowy na to sposób, wszelkimi środkami wpływając na miarodajne czynniki — samą zaś ludność tutejszą pouczyła o istotnym stanie rzeczy w ojczyźnie, wyświeblała fałsze przez wrogów szerzone, wzmogła zbliżenie i na nowo obudziła w duszach braci Kaszubów miłość do Polski.

W celu zrealizowania tej myśli zamierzamy, po porozumieniu się z czynnikami miejscowymi, utworzyć tymczasowy Komitet i gorąco zapraszamy wszystkich, a szczególnie gości kąpielowych, na organizacyjne zebranie, które się odbędzie w sali Kurhausu w Gdyni dnia 7 lipca o godz. 4 po południu z następującym porządkiem dziennym:

- I 1. Zagajenie zebrania i wybór przewodniczącego
2. Referat pana Stefana Żeromskiego
3. Projekt organizacji tymczasowego Komitetu szerzenia ducha narodowego wśród ludności nadmorskiej
4. Wybór Komitetu
- II 1. Aprowizacja gości kąpielowych w Orłowie, Gdyni i innych
2. Wolne wnioski

Członkowie organizatorzy: Stefan Żeromski; Witold Kukowski, Kolibki; ks. prob. Łowicki, Oksywie; ks. dr Kantak; Ludwik Gorazdowski; dr Aleksander Majkowski; Jan Lechoń; ks. poseł dr Wł. Chrzanowski; prof. poseł Witold Kamieniecki.

Wiec się odbył (nie we środę, 7 lipca, ale nazajutrz, 8 lipca) i zadanie swoje spełnił.

Doszły na nim do głosu owe nawrzałe rozgoryczenia miejscowe i żale. Jak świadczy sam inicjator, „z ust uprawnionych przedstawicieli kaszubskiego ludu padały pod adresem polskich władz i urzędów oskarżenia o przekupstwo, bezmyślność rozporządzeń, o brutalną soldateskę wojskowości i biurokratyczny bezrząd. Słuchaliśmy tych inwektyw z zaciśniętymi zębami. Zarówno bowiem w wypadkach prawdziwości cytowanych szczegółów, jak w wypadkach nieścistości czy przesady w opisie wydarzeń, skargi te znamionują grozę położenia“⁶.

Zawiązało się wtedy również Towarzystwo Przyjaciół Pomorza. W jego to imieniu Żeromski zredagował odezwę do społeczeństwa. Rozesłano ją do prasy. *Kurier Warszawski* streściwszy ją podał skład zarządu

⁶ S. Żeromski, *Inter arma*. Wyd. 2. Warszawa 1930, s. 50. W odezwie programowej Towarzystwa Przyjaciół Pomorza.

Towarzystwa. Weszli doń: Stefan Żeromski, Iza Kostrzeńska, ks. proboszcz Łowicki z Oksywia, Mirosław Sanicki, Antoni Abraham, ks. Jan Dorczyński i ks. poseł Władysław Chrzanowski⁷.

Ustalenie całej tej przygody poza tym, że przymnaża ilość tekstów Żeromskiego, nie jest też bez interesu historycznoliterackiego. Pozwala najpierw sprecyzować pewne szczegóły w chronologii jego twórczości.

Na czele kajetu, w którym się dochował pierwszy rzut odezwy, znajdujemy brulionową wersję aktu V *Białej rękawiczki*. Nie ulega wątpliwości, dramat został ukończony przed lipcem 1920.

Po wtóre — ulotka w programie wiecu zapowiada: „Referat pana Stefana Żeromskiego“. Co to był za odczyt? jakiej treści? Nie pomylimy się zapewne przyjmując, że była nim [*Opowieść o Helu*], której tekst dochował się również w samoistnym autografie. Podalem go w Dodatku do t. 5 działu I ostatniego wydania zbiorowego⁸, nie zdoławszy jeszcze określić należycie jego daty. Obecnie wiemy, że jest i on z lata 1920, stanowi zaś ogniwo łączące *Wisłę* z *Międzymorzem*.

Wreszcie — jedno jeszcze ustalenie. Wrażenia odniesione na owym wiecu gdyńskim 8 lipca dostarczyły Żeromskiemu podniety i materiału rzeczowego do opowiadania [*Przy nowych fundamentach*]. Wiele świadczy za tym, że opowiadanie to było najwcześniejszym członem cyklu *Wiatr od morza*. Ono też zapewne stało się ziarnem zarodkowym całego dzieła. Zawiązek jego przypada zatem również na późne lato 1920.

⁷ Kurier Warszawski, 1920, nr 202, z 28 VII.

⁸ Żeromski, *Dzieła*, [seria I], t. 5. Zob. s. 359 i n. Charakter odczytu rozpoznano tam trafnie, ale domysł, że może on pochodzić z r. 1922 lub z początku 1923, był niewątpliwie błędny.